Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 44. Poznań dnia 28. Stycznia. 1839.

Literatura zagraniczna.

Heine o szkole szwabskiéj.

Cóż to jest, ta szwabska szkoła? pytałem z ciekawością niedawno przejeżdżających Szwabów. Długo wzbraniali się odpowiedzieć na moje zagadnienie, uśmiechając się, tak, jak się uśmiecha aptekarz, kiedy rano pierwszego Kwietnia, na *primaprilis*, przyjdzie jaka łatwowierna dziewczynka do apteki, i żąda za trzy grosze ptasiego mleka. W mojéj prostocie rozumiałem najprzód przez szkołę szwabską ów gaj zielony wielkich mężów, którzy wzrośli w szwabskiéj krainie, owe dęby olbrzymie, zapuszczające swe korzenie aż do środka ziemi, a wierzchółki swe wznoszące ku niebu .... i rzekłem daléj: wszak Szyller należy do téj szkoły? — Ah! nie, odpowiedziano, ztym jegomością nie mamy nic do czynienia: tacy Rozbojnikowi pocci nie należą do szkoły szwabskiéj; u nas wszystko idzie porządnie, i dla tego Szyller dawno już ze Szwabii wynieść się musiał. — Należyż Szelling do szwabskiéj szkoły, ów król Arthur filozofów, szukający napróżno filozoficznego kamienia i usychający na puszczy mistycyzmu? — My się natem nie znamy, odpowiedzieli zapytani Szwabi; lecz o tem możemy Wać Pana zapewnić, że Schelling nie należy do szkoły szwabskiéj. — A Hegel należyż do niej, ów podróżnik świata w krainie idei, który nieustraszony przedarł się aż do północnego bieguna myśli, gdzie nam zwyczajnym ludziom mózg marznie w abstrakcyjnym lodzie? — Tego wcale nie znamy! — A Dawid Strauss z swym śmiercionośnym gromem? — Boże nas uchowaj od tego zuchwalca! dawno on już wykluczony z towarzystwa poczciwych Szwabów; a gdyby mu na myśl przyszło, zgłosić się do naszego grona, pewny jestem, że dostanie wszystkie czarne kulki. — Dla Boga! zawołałem, wyliczywszy wszystkich sławnych Szwabów, któż więc należy do szkoły szwabskiéj?

Dobrze! odpowiedziano, kiedyś tak ciekawy, to ci już powiemy prawdę: imiona, któreś dopiero wyliczył, są raczéj europejskie, nie szwabskie: dawno oni ze Szwabii wywędrowali i mieszkali za granicą; gdy przeciwnie istotnie sławne Szwaby, gardząc takiem kosmopolityzmem, nigdy ojczyzny nie opuszczają. — Tutaj dopiero dowiedziałem się, jakiéj to wielkości są owe sławne imiona, mające zaszczyt składać szkołę szwabską. Pierwszym ze wszystkich jest ewangelicki pastor Gustaw Szwab: jest to śledź, w porównaniu z innymi mogącemi ujść za sardelle, rozumie się, bez soli. Napisał on kilkanaście pięknych piosnek, nawet kilka ballad; ale co z Szyllerem, owym ogromnym wielorybem, to podobno nie wytrzyma porównania. Po nim następuje Dr. Justinus Kerner, upatrujący wszędzie upiory i nieboszczyków. Poezye jego nie są tak złe, jak się niektórym krytykom wydaje: ma on pewny rodzaj zasługi, i rzekłbym o nim to, co Napoleon powiedział o Muracie: »jest to wielki waryat, ale najlepszy jenerał kawaleryi.« Już widzę, jak wszyscy mieszkańcy Weinsbergu na takowe zdanie potrząsają głowami, i z podziwieniem odpowiadają: »kochany nasz ziomek, pan Justyn Kerner, jest prawda waryat, ale zkądżeby mu się wzięło być dobrym jenerałem.« Niech i tak będzie! ja się nie chcę przy tem upierać, żeby miał być koniecznie dobrym jenerałem kawaleryi.

Karól Meyer, co po łacinie znaczy *Carolus magnus*, jest trzecią podporą szwabskiéj szkoły: mówią, że tchnie duchem swego wielkiego przodka; słaba mucha, co chrabąszcze opiewa. Wsławił on się bardzo w całéj okolicy miasteczka Waiblingen i na przedmieściach, i mówią, że mu wystawią statuę z drzewa, w naturalnéj wielkości. Ten drewniany posąg poety ma być corok na wiosnę olejną farbą odświeżany, kiedy chrabąszcze na wierzch wychodzą.

Znakomitym poetą szwabskiéj szkoły, jest także, jak mnie zapewniano, pan *** ale jeszcze jego poezye nie wyszły na świat. Mówiono mi, że nie chrabąszcze opisuje, tylko skowronki, przepiorki i t. d., co jest rzeczą arcychwalebną. Skowronki i przepiorki powinny być opiewane, zwłaszcza pieczone. O istotnéj wartości poezyi tego pana, równie jak innych, ukrywających się dotąd

w cieniu z płodami swego geniuszu, nic powiedzieć nie mogę, bo zgadywać nie umiem.

Szkoła szwabska czuła zapewne swą niemoc, kiedy i po za Szwabią zrekrutować się chciała. Napisali oni do Ludwika, króla bawarskiego, ukoronowanego śpiewaka; ale się ten wymówił. Z resztą kazał ich uprzejmie pozdrowić, i posłał im exemplarz swych poezyi na pięknym welinowym papierze ze złotemi brzegami w safian oprawny. Potem udali się Szwabi do hofrata Winklera, jaśniejącego od niejakiego czasu na parnassie niemieckim pod przybranem nazwiskiem Teodora Hell. Lecz ten odpowiedział, że jako wydawca gazety Wieczornéj nie może się mieszać do Szwabów, a nadto sam ma zamiar założyć szkołę saską, do któréj już zamówił znaczną liczbę rodowitych Sasów. Tym samym sposobem wymówili się i Luzaci i Pomorzanie.

Będąc w takim kłopocie podrwili jeszcze bardziéj i spłatali prawdziwie szwabski figiel, przyjmując do swego kollegium, Węgrzyna i Kaszuba. Pierwszy nazwiskiem Mikołaj Lenau wsławił się od czasów lipcowéj rewolucyi liberalnym sposobem myślenia: prawdę mówiąc, i mój przyjaciel Laube dopomógł mu także do téj sławy, na którą poczęści zasługuje. Węgrzyni ponieśli na wszelki przypadek wielką stratę ztąd, że ich ziomek wywędrował do Szwabów; z tem wszystkiem dopóki mają tokaj, mogą się w smutku pocieszyć.

Druga akwizycya szwabskiéj szkoły mniéj jest świetna, w osobie sławetnego Wolfganga Menzla, rodem z Kaszubii, z którym, jak wiecie, miałem spotkanie nie lada! Obeszło się wprawdzie bez prochu i kulek, choć się na to zanosiło, ale tylko dla tego, że ztchorzył mój przeciwnik srożący się zrazu, jak lew zażarty.

Gustawa Pfizera liczy także szkoła szwabska do swego grona, gdzie dość mizerną gra rolą: wiersze jego jak proza nie wiele warte. Wyznaję, żem nic więcéj nie czytał, prócz jednéj rozprawy, którą przeciwko mnie napisał: nędzna ramota! styl fatalny, co tym dziwniejsza, że się cała szwabska klika na nię składała. Jakkolwiek partacz w uczonem rzemiośle, wart jednak, aby mu Wolfgang Menzel swój zwiędły wawrzyn własną ręką na skronie włożył.

A teraz, mój miły czytelniku, chciałbym z tobą pomówić serio; to, co teraz powiem, nie zgadza się wcale z żartobliwym tonem, z płochą dowcipu igraszką. Chcę mówić o Uhlandzie, którego z bolem serca widzę w tak lichéj kompanii. Lecz ponieważ owi poetkowie Uhlanda swoim nazywają, niepodobna go tutaj przemilczeć. Daleki od ubliżania tak wielkiemu talentowi, radbym owszem dodał mu, gdyby więcéj można świetnego blasku, i rozgłosił sławę jego po świecie. — Gdzieindziéj mówiąc o Uhlandzie, dowiodłem, że ten wieszcz właściwie nie utworzył nowéj szkoły romantycznéj, lecz ją tylko zręcznie naśladował: byli jednak tacy, którzy go uważali za swego mistrza i małpowali niezgrabnie. Tymczasem Uhland już od dwudziestu lat umilkł, równie jak Szlegel, Tiek, i do umarłych raczéj niżeli do żywych policzony być może. Śmiesznie więc, że szwabska szkoła takiego poetę koniecznie pomiędzy swoich policza, wydobywając z grobu nieboszczyka, chyba dla tego, żeby go ubrawszy w hełm i pancerz, i na koń wsadziwszy, jak Hiszpani swym Cydem, straszyli nim przeciwników szkoły szwabskiéj.

Literatura krajowa.

Poezya.

Ironia życia.

Pośród odgłosów muzyki cudnéj,
W masce tragicznéj, wesołéj, nudnéj,
Świat cały tańczy do koła;
Wściekłe zapusty! — bo ni sumnienie,
Ni tęskność serca, raju wspomnienie
Tańca już przerwać niezdoła.

Kto w ciemnym kącie skryty za ludzi
Drzymiące serce w sobie obudzi,
I maskę nieco odsłoni;
Kto jeszcze w rajskie wierzy nadzieje,
Ten niechaj z płaczu głośno się śmieje,
Nad śmiechem łezkę uroni.

Smutno, gdy serce szlachetne, wzniosłe,
Ku chlubie świata i ludu wzrosłe,
Błazeńską szatę przywdziewa;
Śmiesznie, gdy dusza brudna i podła,
W świętego smutku stroi się godła,
I łzy kłamane wylewa!

Smutno, gdy w karczmie huczno i głośnie,
Lud zabrzmi śpiewką, żwawo, radośnie,
Pamięć nieszczęścia przepije;
Śmiesznie, gdy imie umarłe, dumne,
Nawet w smętarzu obciąża trumne,
I złoty napis wyryje!

Smutno, gdy dusze młodzieńcze, czyste,
Puszczą w niepamięć dnie rzeczywiste,
I żywot przemarzą we śnie;
Śmiesznie, gdy przeszłość stara, zbutwiała,
Blaskiem pokrywa wychudłość ciała,
I wstaje z grobu niewcześnie.

Tu pełne życia olbrzymy młode,
Na staroświecką stroją się modę,
Włos czarny siwo malują;

A wygrzebując mogiły z pleśni,
Zwolują duchy z grobowéj cieśni,
I z światem zmarłych obcują!

Owdzie schylone ku ziemi czoła,
Chcą się przymilić wdziękiem anioła,
Odmłodnieć blaskiem jutrzenki;
Chcieliby zmienić rysy ochydne,
Ale napróżno — bo zewsząd widne
Zmarszczki z pod świeżéj sukienki!

W pląsach wesołych niezgodne pary,
Niewiara w sercu — złudne maszkary,
Oto jest tańca harmonja;
Nie w takt muzyce światowéj skakać,
Wyśmiewać żale, wesele spłakać,
Oto jest życia ironja.

O! jakże miło w ten śpiew niebiański
Wmieszać głos ostry, cierpki, szatański,
I przerwać tańce szalone;
I wrzucić wyraz zapału, męstwa,
Pełen pogardy, pełen przekleństwa,
Pomiędzy tłumy zdziwione!

Tak ironicznie życie przeszydzić,
Wszystko obnażyć, wszystko zawstydzić,
Być zemstą Boga na niebie;
A gdy w podróży pełnéj łez, błota,
Zajrzy nam w oczy koniec żywota,
Wyszydzić wreszcie i siebie! . . . .

G. E.

---

*Frankiści.**)

Za panowania Augusta IIIgo znalazł się w Warszawie żyd zagraniczny, nazwiskiem Frank. Mówił on tylko po rusku, turecku i włosku, co poniekąd ślad rzuca, że przybył ze wschodu i z okolicy, która prowadzi handel towarami z morza srodziemnego. Jego zjawienie się zrobiło wielki hałas pomiędzy żydami korony i Litwy; zjeżdżali się z różnych okolic rabini i inni żydowscy uczeni, a odbywali z nim dysputy. Frank codziennie pokazywał się z większym wpływem i wielu żydów polskich a nawet i rabinów ochrzcić się kazało. Było prawo w statucie litewskim, że żyd ochrzcony ma być szlachcicem, przyjęto także w praktyce, że gdy prawa koronne milczały o czem, a statut to stanowił, wtenczas artykuł statutu miał i koronę obowięzywać, przeto ci ochrzceni żydzi polscy czyli Frankiści uważali się za szlachtę, ale pod skartabellatem, i dla tego tylko praw szlachectwa jeszcze nie żądali. — Ubożsi nie myśleli o szlachectwie, zakładali w Warszawie szynki, handle wiktuałami i mieli różne sklepy. A że często żydom od marszałków koronnych broniony był pobyt w stolicy, przeto Frankiści znaleźli wielkie pole do zarobku i bogacili się znacznie. Frank tymczasem rozszerzał swoje stósunki do Litwy, a zdaje się, że już wcześniéj miał był, czy uczniów, czy współwyznawców, których może sam był uczniem w Multanach i Wołoszczyznie. Ściągał on składki znaczne, żył w obfitości i co raz wyraźniéj z pierwszymi panami mięszać się zaczynał, a było widać działania ciche i tajemne. I miarkowano, że ma odległe, ale dowcipnie ułożone zamysły, uwięziono go i odesłano na zamknięcie do twierdzy Częstochowskiéj.

Że Frank był człowiekiem niepospolitym obdarzonym wszelkiemi zdolnościami do wykładania albo raczéj tworzenia nowéj religii, to nie z jednego widzieć można. Nie masz wątpliwości, że pozornie tylko przyjął chrześciaństwo. — Na zasadzie tłumaczenia starego testamentu, dowodził żydom, że wskrzeszenie ich królestwa powinno się zacząć od zewnętrznego połączenia się z religiami dziś mającemi przewagę. Handel otwiera im pole do wielu wpływów i utrzymuje między nimi dostatek i kommunikacyą. Mając jeszcze oświatę, godność i harmonią w działaniach spojonych do jednego celu, potrafią opanować rządy krajów, a to będzie prawdziwe królestwo Izraela i to kościoł Salomona. Dziś tylko żydzi są po całéj ziemi; od Boga rozruceni na ogniwo narodów; ich obowiązek ludzkość wiązać w całość. — Pojdzie im to łatwo, bez trosków, a ich niewola panowaniem się stanie. Do wykonywania takich planów właśnie Polska przestronnem jest polem: w niéj żydów moc niezmierna, z bogactwami znacznemi, rząd republikański z policyą mniéj ścisłą a na knowania polityczne zupełnie nieuważną. »Polska« mawiał Frank »jest ziemia najmilsza w niéj najwyraźniejsza moc i boska potęga;« Polskę więc obrał na stolicę wielkich kapłanów. Uczniowie jego, którzy się sami Mamini zwali już o Franku, jak o cudownym proroku zaczęli opowiadać

---

*) Rzecz ta w czasie swoim zajmowała niezmiernie Publiczność Polską, a nawet krajów ościennych. Łatwo się więc domyślić można, że była wielostronnie i ścisle roztrząsaną. Żydzi talmudziści przenajmowali pióra i wydawali uszczypliwe pisemka ulotne przeciw Frankowi i jego prozelitom. Duchowieństwo niedowierzając wymuszonemu okolicznościami nawroceniu się Frankistów do wiary katolickiéj, niepobłażało im także bynajmniéj i raz poraz wystąpowało przeciw nim z jaką chryą. Frankiści nie borgowali, odcinając się żwawo. Ztąd utworzyła się niemal biblioteczka mała pism z téj okoliczności. Najważniejszemi atoli, bo rzucającemi dostateczne światło na początek, wzrost i dzieje téj żydowsko-chrześciańskiéj sekty, na jéj machinacye, zabiegi, obroty i t. d. są następujące.

1) Drukowany proces w konsystorzach Kamienieckim i Lwowskim; i
2) Uwagi nad niniejszym stanem Żydów Polskich. W Warszawie 1797. 4*to*.

Redakcya, umieszczając powyższy artykuł, uczyniła to dla odświeżenia w pamięci Publiczności wielkiego zdarzenia, z którego gdyby Rząd dawny polski umiał był korzystać, dziś zamiast brodatych niechlujnych próżniaków nasze miasta i miasteczka zaludniałoby pokolenie przemyślne, użyteczne i jedno z nami rodne. *Przyp. Red.*

różne mityczne podania, a z nich to tylko zachwycić nam się udało. Chamianków, Templaryusz starożytny, był pierwszym założycielem kościoła Maminów, stał długo na czele, ale nie mógł upatrzyć godnego po sobie następcy, zostawił płaszcz i sandały a mówił do uczniów: »kto się godnym uzna, niech je odziedziczy, aby tylko godnie dzierzyć umiał, bo śmiercią umrze;« i nikt się nie znalazł, ktoby płaszcz i sandały odziedziczył i wiele wieków przeleżały w kościele Tessaloniki, a nawet nikt ich się tykać nie ważył. *(Dokończenie nastąpi.)*

Czerwona sukienka.

(Przez Czajkowskiego.)

(Dokończenie.)

Moja siostra wyszła — ja patrzyłem na podłego szwagra; miałem żelazo, mogłem go zabić, ale nie, wolałem go mordować pogardą wzroku; — siostra wróciła niosąc pełny wór złota: »ktokolwiek jesteś, mój brat, czy nie — weź to i uciekaj!« — Ten czyn w téj chwili oburzył mnie do reszty: siostra w miejscu serca daje złoto; — podli! nikczemni! — porwałem wór ze złotem, cisnąłem im w oczy: »żyjcie w złocie, w podłości, w przeklęstwie! ja nic od was niechcę!« i wyszedłem, zatrzaskując za sobą drzwiami, aż wszystkie szyby zabrzęczały u okien, jak gdyby odlatywał zły duch, spełniwszy dzieło spustoszenia. Koło mego konia stał Grzegorz i Dolot; — dostałem kilkanaście sztuk złota z mojego czerkieskiego nabytku; »Grzegorzu, weź to,« — siadłem na konia i pojechałem; słyszałem, jak stary sługa mówił za mną: »Paniczu, niech ciebie Bóg błogosławi;« tak mi ciężko było na sercu, że nawet zapłakać niemogłem, żegnając rodzinny dom, ojczystą wioskę.

Polami, dołami mknąłem do Jampolu, obejrzałem się, mój Dolot za mną biegnie, wesoło podskakuje i ogonem pokręca, jak za dawnych czasów, on mnie nie zapomniał, dla mnie wszystko porzucił, — o rodzie ludzki! czemu ty niemasz psiego serca do przyjaźni? — Już widziałem Jampola białe domy, jakby wiankiem przedemną się rozwijały. — Wjeżdżam do miasta, — cicho, głucho. — Zajeżdżam przed znany mi dworek, — i tam cicho, głucho; — nareście pies zaszczekał, i wyszedł jakiś człowiek, znałem gdzieś tę twarz, ale przypomnieć sobie niemogę gdzie; on na mnie popatrzył, czy mnie poznał, czy też nałogiem spuścił oczy ku ziemi. Zapytałem złażąc z konia: »Czy jest u siebie pani chorążyna?« — »Pani chorążyna już od miesiąca tu nie mieszka, ja kupiłem ten dworek.« — »Gdzież ona jest?« — »Pojechała na Kaukaz z zięciem.« — »Z jakim zięciem!« — »Z księciem Abas-Iszmilem.« — »Czy panna Helena wyzdrowiała?« — »Nie, zawsze była chorą.« — »Jakże się z nią ożenił książę?« — »On się ożenił z panną Pauliną, młodszą córką pani chorążyny.« — Więcéj mi nie potrzeba było, oparłem się na mojem siodle, jakby w gorączce byłem, zdało mi się, że szyderczym głosem opowiada mi zamęście Pauliny. On mnie trąca, ofiaruje spoczynek gościnny, — ja przyszedłem do siebie, »na Kaukaz!« zawołałem, — on na mnie popatrzył; w téj chwili nieuważałem na jego szyderczy uśmiech: »Na Kaukaz, odszukać zwłoki pana Tomasza Jazłowieckiego, o którym mówili, że zginął gdzieś w tamtych krajach.« — Skoczyłem w siodło: »i jeszcze się, jakby naśmiewali ze mnie, znajdą nie zwłoki, ale zemstę!« — Obróciłem konia, wyjechałem z miasta i kopnąłem się w step. — Długo czwałowałem bez drogi i bez celu, nareście koń mój zmęczony stanął koło mogiły; ja złazłem z niego i rzuciłem się na gołą ziemię; — niespałem, ale bez zmysłów leżałem, i kiedym się ocknął, już słońce świeciło i stepowi ptacy na dobry dzień Bogu śpiewali. Uczułem jakiś ciężar na nogach, to mój Dolot, śpi, trącam go, nierusza się, wstaję, przykładam rękę, ucho, usta do jego nozdrzy — zimne — on umarł i umarł z uśmiechem w oczach, bo u nóg swojego pana, swojego przyjaciela, u nóg tego, którego kochał. Westchnąłem nad jego śmiercią, attaganem wykopałem mu grób i pogrzebałem jego zwłoki; uczułem jakąś ulgę w sercu, bo choć jednemu przyjacielowi i to prawdziwemu oddałem ostatnią posługę; aż tu przyszedł i drugi mój przyjaciel, mój koń złotogniady, swoją chrapą dotykał mojéj twarzy i kopytem grzebał ziemię, jakby dawał znać, już czas jechać. Usłuchałem tego przyjaciela, ruszyłem ku Dnieprowi, ztamtąd ku Donowi; chciałem jechać do Abas-Iszmila, popatrzyć na Paulinę, ale pomyślałem, nie sam przyjadę, znajdę przyjaciół, co mi będą towarzyszyć! w złożeniu ci weselnego podarku. — Przepłynąłem Terek rzekę, Czeczeńce mnie przyjęli, jak rodzonego brata i to ukochanego sercem, a to przyjęcie, ta ich serdeczność dla mnie, tak rozczuliło moje serce, że zaniechałem zemsty; i między nimi chciałem zapomnieć o rodzinnéj ziemi, o ludziach, co mi tyle złego narobili, i niemogłem.

Czas biegł i co dzień jakąś nową zmianę świata przynosił, a moje uczucia nic się niezmieniały — wszystko pozostało, oprócz chęci zemsty: — kochałem zawsze Paulinę, nieraz żałowałem, czemum jéj nieszukał w Gruzyi, i chciałem już biedz po to; ale cóż z jéj ust się dowiem, że ona mnie nie kocha, że innemu serce i rękę oddała, w końcu mówiłem: ona się poświęciła dla szczęścia swojéj rodziny, Abas-Iszmil bogaty, zamożny, a ja tułacz, wygnaniec, a może potępieniec, — ona się poświęciła, ona mnie kocha i ja ją uniewinniałem i posta-

nowiłem szanować spokój jéj serca. Czasami obwiniałem Abas-Iszmila, że zdradził przyjaźń, ale rozważałem w myśli: on ma oczy i serce, ona taka piękna, taka dobra; dla czegoby on niemiał jéj kochać?* jak ja kochałem, jak ją kocham jeszcze teraz; — serce mi mówiło: Władysław po dwa kroć sprawcą twego nieszczęścia, a dusza odpowiadała temu zarzutowi: on jéj bratem, chciał jéj szczęścia i szczęścia swojéj rodziny, za złe mu tego mieć niemożna; — w takich szamotaniach się duszy i serca przeżyłem więcéj pół roku, wojna dla mnie była jedynym żywiołem i wojnę mieliśmy. — Był to czas, w którym Jermołow* usiłował podbić wszystkie wolne pokolenia Czerkiesów, pod władzę rossyjskiego cesarza; niemieliśmy żadnego porozumienia z mieszkańcami Kobardy, po nad brzegami Tereku i wzdłuż wojennéj linii ku Derbentowi, jak ćmy naściągało się rossyjskich żołnierzy; jeśliśmy czasem przebijali ten łańcuch zbrojnych ludzi, to jedynie dla tego, aby wyciąć mieczem, porabować i po swojemu z podkarmioną tylko zemstą, ze złupioną zdobyczą uciec w góry. Ani wiedziałem, ani mogłem się dowiedzieć, co się dzieje z Abas-Iszmilem, a szczerze jednak tego pragnąłem.

Wrześniowego dnia książęta i Uzdeni Czeczeńców, Hanowie Awaryńscy, uradzili napad na Derbent i okolice, ja dostałem przewództwo nad stoma Czeczeńcami, których sercu i ramieniu można było zaufać, jak się ufa skokom czerkieskiego konia. — Jeszcze z wieczora spuściliśmy się z gór i na przemiany szliśmy to sosnowym to dębowym lasem; ani jeździec żaden zagadał, ani koń zarżał, nawet tabun luźnych koni z sakwami na zdobycz, postępował za nami w porządku, w milczeniu, jakby wolę i potrzebę panów rozumiał. — Noc zciemniała, jeszcze księżyc nie zeszedł, a gwiazd nie widać było, kiedy przez szpary lasu ujrzeliśmy ogniki rossyjskich straży; — w prawo i w lewo po kilkunastu jezdzców cicho poszłapało, to zwyczaj Czeczeńców podchwytywania czat kozackich. — Po lewéj stronie usłyszeliśmy głuche, podziemne jęknięcie, i świst podobny świstowi stepowego zuzla, tabunem z kopyta pomknęliśmy w tę stronę; przebiegając łańcuch straży, już niepilnowali, uczułem, jak mój koń nogami zawadził o kozackiego trupa. — W tem po prawéj stronie strzelono, oglądnęliśmy się, wiecha się zapaliła, zły to znak, nie my obudzimy Rossyjan. Już raz rozpuszczonych koni niepodobna cofnąć, osadzać wstyd, krzyknęliśmy: »na Derbent! na Derbent!« Czeczeńce dziko jak szakale zawyli, i w przegony poczwałowaliśmy do miasta. — Nasze miecze nie przetarły oczów śpiącym mieszkańcom, ale nas w ulicach miasta powitał karabinowy ogień i gęste kule. Księżyc zeszedł, jakby na przyświecanie naszéj klęsce, ujrzeliśmy się zewsząd otoczonymi mnogiem żołnierstwem, końskiemi piersiami rozpieraliśmy tłumy, i siekliśmy mieczami w prawo i w lewo. — W tym zgiełku i zamieszaniu zrąbawszy kilku żołnierzy, wskoczyłem koniem przez wrota na obszerny dziedziniec, — z okien huknęły strzały, gwizdnęły kule, i mój złotogniady zwalił się o ziemię, tłocząc mnie pod siebie; — z dworu wyskoczyli ludzie: »Czerkies! Czerkies! poddaj się!« — ale już ja wychwyciłem się z pod konia i z dobytą szablą przed nich biegnę: czy mi się zdało, czy zasłyszałem głos Abas-Iszmila. — Ruch bitwy, krzyk bitwy, zapach krwi, śmierć mojego konia, rozburzyły i moję krew: chciałem zemsty, pragnąłem zemsty. — Już czterech ludzi zmiotłem moją szablą, kiedy w samym progu spotkałem się z Abas-Iszmilem, z całéj siły wytężyłem cięcie szabli na pocałunek zemsty; Abas-Iszmil mnie poznał, krzyknął: »Jazłowiecki stój!« i tylko zasłonił się swoim mieczem — ciąłem, i jego miecz bryznął i mój bryznął, ale odłamkiem przeprułem po jego piersiach, — obrócił się, zawołał: »Tomasz Jazłowiecki!« i wpadł do pokoju, migiem wychwyciłem pistolet z za pasa i w skok za nim — wypaliłem, w chwili, kiedy Paulina odmykała drzwi z drugiego pokoju, krzyknęła: »Tomaszu!« i usunęła się na ziemię, poznałem ją — pistolet upadł mi na ziemię, ludzie Abas-Iszmila porwali mnie z tyłu, ja się niebroniłem; — Abas-Iszmil ranny krzyknął: »pójdźcie precz, zostawcie go!« — oni wyszli, a ja, jak przyrosły do podłogi, stoję w miejscu, kroku nieruszyłem, z Pauliny oka niezwróciłem. — Przybiegła chorążyna, Helena, kładą Paulinę na sofie, — a ona mówi: »To nic, Tomaszu, mój drogi!« — serce mi pęka, niewiem, co ze mną się dzieje; — w tem Helena spojrzała na Abas-Iszmila: »Mężu, tyś ranny!« — te słowa zarazem zabiły i życie mi wróciły: — jam ją zamordował, a ona mnie kochała, ona mi wierną była. Na klęczkach przyczołgałem się do sofy: »Paulino, tyś nie jego żoną?« — »Ja'twoja! Tomaszu, — matko, pobłogosław nas!« — Całuję jéj nogi, ręce, ssę krew z jéj rany: »Ja twój zabójca, ja potępieniec Boży!« — a nikt mnie tam niezłorzeczył, wszyscy mówili: »biedny Tomaszu!« — Ona Paulina usta swoje przytuliła do mojéj twarzy, i pocałunkiem dziękowała za śmierć swojemu zabójcy. A matka jéj przebaczała i błogosławiła nas. — Przyszedł lekarz, opatrzył ranę, pod piersiami ołow w niéj został, smutnie potrząsł głową; — ona spojrzała na niego i na nas: »Prawda, że ja wyzdrowieję, żyć będę, Tomaszu, dla ciebie!« — Lekarz powiedział: »Trzeba kulę wydobyć, to jedyna nadzieja.« — »To moja kula! to moje powitanie kochanki! jakżem ja wielki zbrodniarz!« łez nieroniłem i serce mi nie pękło. —

W Pauliny oczach cierpienie, na twarzy bladość śmierci, często zęby zaciska, a jednak ustami udaje uśmiech: »Niech pan dobywa kulę, ja się nielękam.« — Lekarz dobył narzędzi, dotykał téj białéj piersi, któréj przed nim żaden mężczyzna niedotknął nie tylko ręką, ale nawet okiem, zdało mi się, że Paulina zarumieniła się ze wstydu, o małom nieporwał świętokradzcę lekarza za kołnierz, bo on dotykał świętych rzeczy dla ludzi; — nożem krajał po jéj ciele, krew ciekła, mnie się zdawało, że on pruje moję pierś, nawet czułem, że krew mi bluzga z rany; zapuścił żelazo w głąb rany, mnie serce zabolało, bo żelazem dotknął mojego serca, rzuciłem się i krzyknąłem. Paulina półgłosem przemówiła: »Tomaszu, pocałuj mnie« — i ja ją całowałem. — »W czerwoną sukienkę mnie przybierzcie —« i z słabym pocałunkiem, lekki oddech skonu wionął w moje usta. — Ja zawołałem: »Paulino moja! Paulino!« i objąłem ją w pół, aż mi ramiona zaklęsły w około jéj ciała. — Lekarz smutnie powiedział: »Już nieżyje!« — Matka płacze, siostra płacze — a ja trupa obejmowałem: »Ona moja! ona moja!« Niepłakałem, tylko zębami zgrzytałem, i błagałem o śmierć u Boga: »Jam zabójca, zbrodniarz, Boże zabij mnie! — potęp!« Wyrwano mnie z rąk trupa, ale niewyszedłem z pokoju, i dzień i noc tam siedziałem. — Widziałem, jak ją przybraną w czerwoną sukienkę, jak szalony ją całowałem: »Będziemy się jeszcze weselić! tam w niebie — tyś moja — ty mnie weźmiesz z sobą.« — Byłem na jéj pogrzebie, ale już nic nie pamiętam; powiadano mi tylko, że z warkoczem jéj włosów wszędzie chodziłem, nikogo niepoznawałem — tylko powtarzałem ciągle: »ona mnie kocha! ona moja!« — oszalałem, ale nieumarłem. Przeklęte życie człowieka, jakby kamienne! zacisnął zęby i jakiś czas milczenie zachował, potem potarł ręką czoło i daléj mówił: Abas-Iszmil przez Jermołowa, uzyskał moje u cesarza ułaskawienie, a w kilka miesięcy późniéj Władysław przywiózł mnie w rodzinne strony. — Widok ojczystéj wioski, dworku w Jampolu, obudził we mnie pamięć, spłakałem się i przypominaliśmy dawne rzeczy; — od niego dowiedziałem się, że po szlubie Abas-Iszmila z Heleną, on Władysław przedał dworek dawnemu poufałemu słudze barona Ajdenbauma, a ja go nie poznałem. Baron spodziewał się, że ja przyjadę w rodzinne strony, a niechciał, abym w nich pozostał, wiedząc dobrze, że cesarz Alexander ułaskawi, bał się zaś o utratę majątku nabytego przestępnie. On to osadził sługę swojego z rozkazem powiedzenia o zamęściu Pauliny; — znał mnie dobrze, i wiedział, że wrócę na Kaukaz. — Abas-Iszmil z rodzeństwem Zagórskich czekali na mnie w Odessie, biorąc wszędzie poszlaki o mnie. Na miesiąc przed nieszczęśliwym wypadkiem Władysław wrócił do kraju, a Abas-Iszmil wyjechał do Derbentu. Moja siostra i mój szwagier wyprzedali się i wyjechali zagranicę do Niemiec — i sługa powiernik mego złego ducha opuścił Jampolski dworek i podążył za panem, — a ja ich ofiara, stałem się zabójcą.« — Chodził po izbie i widzieliśmy na jego twarzy, co cierpiał, — siadł: »Władysław zamieszkał w Bukach, ztąd niedaleko, a ja tu w jego sąsiedztwie, często razem się smucimy, razem płaczemy; ale mnie tylko samemu została w podziale niepocieszona rozpacz, bom ja zabójca.« — Wstał, przeszedł się kilka razy po izbie i wyjął z zanadrza warkocz jasnych włosów, które ciągle nosił koło serca: »To pamiątka miłości, włosy Pauliny,« otarł łzę kręcącą się w oku, i wskazał ręką na końską skórę złotogniadéj barwy: »a to pamiątka wojennéj sławy — sławy, co mnie zaprowadziła do zabójstwa!« i zamilkł, szanowaliśmy to dumanie rozpaczy, całą noc nie spaliśmy, ale rozpamiętywaliśmy nad tem życiem przygód. — Nazajutrz Jazłowieckiego twarz była spokojniejsza. »Ona mi się objawiła, w czerwonéj sukience taka piękna, jaka była zawsze, woła mnie do siebie. — Znacie moje przygody i moje cierpienia, zachowajcie milczenie, póki ja żyję, a potem zróbcie, co zechcecie: ja jadę do Tyflisu, czuję, że mój koniec się zbliża, niech przynajmniéj moje zwłoki spoczną obok zwłok Pauliny, ona mnie przebaczyła, ona mnie kocha — i Bóg może mi przebaczy.« — Żegnając Jazłowieckiego, nieśmieliśmy mu powiedzieć jednego słowa pociechy, on jednak poznał, że nasze serca nie z głazu, bo nas uściskał serdecznie; — »Dziękuję wam, już zapewnie się nie zobaczymy — zmówcie czasem pacierz za nieszczęśliwego zabójcę —.«

We trzy dni dowiedzieliśmy się, że Jazłowiecki opuścił Bykówkę; na początku tysiąc ośmset trzydziestego roku Władysław Zagórski pokazywał nam w liście Abas-Iszmila te słowa: »Tomasz umarł, pochowaliśmy go obok Pauliny; — oh! ile on cierpiał, jak ciężko i długo pokutował! — jak on ją kochał, i jak był szczęśliwym przy skonaniu; — trudnoby mi było opisać — pewnie mu Bóg przebaczył. — Z matką i żoną a nawet z mojemi dziatkami nie jednęśmy łzę wylali, ale cieszyliśmy się tą myślą: oni szczęśliwi tam w niebie.«

Władysław Zagórski w roku tysiąc ośmset trzydziestym pierwszym zginął w bitwie pod Daszowem, a ja z Janem Omiecińskim w Paryżu przypominaliśmy sobie to nieszczęsne życie Tomasza Jazłowieckiego! — Co za dziwne koleje losu!

Michał Czajkowski.

Przegląd pism.

Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania w dawniejszych czasach przez Józefa Łukaszewicza. 2 tomy. W Poznaniu 1838. r.

Że krytyk piszący krytykę, w krytyczném być musi położeniu, to rzecz naturalna. Chwalić, czy ganić? to sęk właśnie. Pochwała pożądaną jest wprawdzie autorowi, ale dla łaskawych czytelników po większéj części strasznie nudna. Bo i na cóż proszę innych chwalić? po co sławić każdego, któremu się uda coś tam napisać i wydrukować? Żeby to jeszcze nas, moi łaskawi współczytelnicy, toby była rzecz znośniejsza. Prócz tego znając dobrze przenikliwość domyślnych antykrytyków, zazierających za kulisy autorskiego życia, obawiam się nie bez przyczyny, żeby mnie za pochlebcę nie okrzyknęli, gdybym się poważył coś na zaletę powiedzieć: to fawor, zawołają, wiemy, co się święci, zna się z autorem! Widzisz więc, mój miły autorze, iż pomimo najlepszéj i najserdeczniejszéj chęci, z pochwałą twoją odezwać się nie mogę. Mógłbym wprawdzie jeszcze drapnąć cię zjadliwie, a potém czule pogłasnąć i plasterek wonny na ranę położyć; ale ja nie lubię nosić na dwóch ramionach płaszcza, i wolę ci wręcz powiedzieć, że cię dziś porządnie wyłajać myślę, a pewny jestem, że wszyscy z rozjaśnioném czołem i chętném sercem bacznego nadstawią ucha.

A najprzód przyznasz mi pewnie z ochotą, mój łaskawy Czytelniku, jeżeliś już ze stronę przeczytał, że to dzieło za uczone i mówiąc między nami, niezmiernie pedanteryą trąci. Na próżno w niém szukałem ciekawych nowin miejskich, których przecie w każdém nawet małém miasteczku pełno; nie znalazłem tu żadnéj wzmianki o balach, koncertach, maszkaradach i tym podobnych wielce zajmujących zabawach. Autor pominął opisy wspaniałych uroczystości, sute obiady i stypy! Oj stypy, stypy! jakby to była obfita i zabawna materya! Zamiast tego powydobywał z opleśniałych szpargałów, jakieś tam historyczne dokumenta i przywileje, które mogą wprawdzie zasępionemu pedantowi zdawać się być ważne, naszém jednak zdaniem nieznośną są staroświeczyzną, na próżno zapełniającą książkę. A nawet gdy mu się zdarzała pora poruszyć z akt kryminalnych całą wisielców i opętanych czarownic zgraję, zamiast romantyczno-straszliwe kreślić obrazy, ażby nam włosy na głowie stawały, opowiada po prostu, co znalazł w aktach, ani mniéj ani więcéj, jak gdyby to zbrodnią było zręcznie co zmyślić. Oj szkoda, że się taka piękna materya panu Hugo i jego zwolennikom nie nawinie, którzyby z niéj pewno lepiéj korzystać umieli!

I z staroświeckiego stylu widać, mój miły autorze, żeś coś za kąty wtyle pozostał. Wysłowienie takie proste, równe, choć czasem i dobitne, było niegdyś w używaniu; ale dziś? to wszystko inaczéj, tak każe wielowładna moda, do któréj świat stósować się musi. Forsowne zwroty, śmiałe, rzekłbym, zuchwałe, przenośne, same salta mortale, to teraz popłaca. Rzucaj się na wszystkie strony, bądź wszędzie nadzwyczajnym, uderzającym, a zdumiały czytelnik stanie w osłupieniu, podziwiając twoję niezrównaną genialność.

A teraz wyjawię Ci, mój miły Autorze, już nie mój, ale tu i owdzie zasłyszany podobno powszechny i główny zarzut, sam jeden twoję pracę potępić zdolny. Oto na papier, na druk srożą się wszyscy niemiłosiernie. Jakoż do prawdy zgrzeszyłeś ciężko: takto mało masz znajomości świata, iż nie wiesz, ile to wartości rzeczy powierzchowność dodaje? Wystaw no sobie człowieka choćby najmędrszego i najpoczciwszego, niepoczesną przybranego suknią, mającego zatém najniepozorniejszą w świecie minę, i osądź sam, czy świat wykwintny, do dobrego tonu przyzwyczajony, może na takiego charłaka spojrzeć inaczéj, jak z politowaniem? Takim delikatnym paluszkom, srodze chropowatością papieru twojego dzieła obrażonym, więcéj idzie o zaletę papieru, któréj się przecie zaraz domacać mogą, niż o zaletę rzeczy, nad którą ślęczeć nie myślą. Jak będziesz wydawał drugą edycyą, radzę ci koniecznie na dwojakim drukować ją papierze: na zwyczajnym kronikarskim dla tych, co się na tém nie znają, i na pięknym welinowym, choćby też z podwyższoną ceną; ciekawy jestem, który exemplarz ci estetyczno wykształceni czytelnicy kupić wolą — mnie się zdaje że — żaden.

Wyłożywszy ci tedy ów papierowy zarzut, przystępuję stopniami do drukarskiego, jako już ważniejszego; bo przyznasz sam, panie autorze, iż tenże o tyle jest od poprzedzającego gruntowniejszy, o ile oczywiście pokazuje, że ten, kto go uczynił, przynajmniéj do książki zajrzeć musiał. Druk drobny, jak mak, i nabity, dla krótkiego nie daleko sięgającego wzroku, tak w teraźniejszych czasach upowszechnionego, jak to mnóstwo szkieł (na nosie udowodni, jest wielce niedogodny, i podobno jedną z głównych przyczyn, dla któréj tak mało czytają. Co się mnie tyczy, który mam Bogu dzięki oczy zdrowe, to ci prawdziwie wdzięczen jestem, żeś większemi głoskami nie kazał drukować, wiem bowiem dobrze, że kieszeń moja, ba i twoja, miły autorze, z tą dogodnością w odwrotnym stoi stósunku. Spytaćby się jednak można, dla czego n. p. Ossolińskiego Wiadomości historyczno-krytyczne, choć są bardzo wyraźnie drukowane i podobno nie źle pisane, dotychczas w większéj połowie na składzie spokojnie spoczywają?

A propos i w tém także okazałeś brak taktu i dobrego tonu, a przeto dałeś powód do publicznego zgorszenia, żeś poważne historyczne dzieło, z przeproszeniem, szewcami i krawcami napełnił. Cóż bowiem w kronice po szewcach i krawcach? Jabym był w twojém miejscu nie tylko tych, ale i rymarzy, garbarzy, mydlarzy, kotlarzy, ślusarzy etc. i całą tę cuchnącą i pukającą rzeszę, jako obrażającą delikatniejsze nosy i uszy, z książki wyrzucił. Byłaby się wprawdzie twoja kronika wtenczas na romansik przetworzyła; tym lepiéj dla niéj! *)

Jeszcze jedno: wiem ja wprawdzie, że historyk, tak jak każdy poczciwy człowiek, prawdą iść powinien! Aleć przecie można ją, jak to mówią, trochę w bawełnę owinąć, tak jak lekarze dają pozłotę swoim gorzkim pigułkom. — A nie znasz to, panie Autorze, przysłowia: prawda w oczy kole, prawda jest gorzką potrawą, nieznaną na wielkim świecie. Od czegoż polityka; ta inaczéj postępować każe: obejrzeć się na wszystkie strony, półgębkiem czasem coś napomknąć, dać zręczny obrot mowie; ale tak wręcz bez ogrodki, jak ty czynisz, to rzadko komu na dobre wychodzi. Jużem tę wadę uważał i w dawniejszych twych pismach, że bez względu na stan, bez względu nawet na same względy, na które się przecie każdy człowiek zwykł oglądać, piszesz, co z starych papierów i książek wywleczesz, nie pomnąc na to, że świat już teraz daleko wyżéj postąpił.

A teraz tak porządnie złajanego chciałbym jeszcze należycie podskubnąć i wyjąć do przeglądu, co najlepsze; tylko że mi moje delikatne sumienie robi skrupuł, iż łupić obcą własność było, jest i będzie zawsze nieodpuszczonym grzechem. **)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

*) Że szewcy i krawcy w mieście, a zatém i w spisie miasta są koniecznie potrzebni, to się już ztąd pokazuje, że gdybyśmy ich jako zbytkowych wyrzucić chcieli, krytyk chodziłby bez bótów i odzienia, lub też musiałby się sam wziąść do igły i kopyta. Cóż dopiero, gdy zważymy, jak rzemieślnicze cechy ważną były instytucyą średnich wieków; jak stowarzyszenia takowe nie tylko rzemiosła, rękodzieła i sztuki, ale i całe miejskie życie i stan średni wypielęgnowały. Cechy to prócz tego w politycznym nawet względzie, jak gdyby półki uorganizowane z swą liczną i bitną czeladzią, nieraz z bronią w ręku stawały w obronie miasta przeciw zewnętrznemu nieprzyjacielowi, a częściéj jeszcze przeciw domowemu łotrostwu. W ich wilkurach przekazane jest mowie ojczystéj mnóstwo wyrazów przestarzałych tak potrzebnych i tak ważnych z wielu względów dla badacza języka i oświaty krajowéj; w cechach to nareszcie i w ich klasztorno-religijnych instytucyach najlepiéj maluje się duch czasu średnich wieków. *Przyp. Aut.*

**) Niepotrzebnie biedzisz się ze skrupuły, łaskawy krytyku: łatwo jest złupić elegancką karyolkę, rozbić świecącą

Doniesienia literackie.

Z Warszawy. W literaturze naszéj jak zawsze głucho i tylko pisma peryodyczne swém żołwim krokiem postępują, i tak wyszedł tu Nr. 10. i 11. *Muzeum domowego*, zawierający: Obraz Niemiec — Wiliam Szekspir — Ostatnie chwile Pauliny Borghezy, siostry Napoleona — Zamek Chęciński — i Nr. 1. tomu 1go *Świata dramatycznego*, zawierający: Urywek z pism Alexandra Mariińskiego — Niektóre szczegóły z życia panny Rachel — Wiersz do Eliny — Tancerka wenecka, powieść z dzieł X. Abrantes. — *Tęczy* (dodatku do Gazety Warszawskiéj) wyszło tomu IV. półrocze 2gie, zawiera powieść Hofmana: »Złota duniczka« — *Magazynu powszechnego* wyszedł Nr. 41., zawierający: Obchód pamiątki wynalezienia druku — Pokarmy i napoje w XV. i w XVI. wieku w kraju naszym p. Maciejowskiego — Wina Tokajskie — Sól morska. — Dnia 17. b. m. wyszedł także poszyt 2gi tomu 1go *Świata dramatycznego*, zawiera: Tancerka Wenecka (dokończenie) — Rysy średnich wieków, (wyjątek z dzieł Chateaubrianda) — Poezya — Warszawa — Karnawał. — Wśród mnóstwa bazgrań muzycznych, które tutaj ciągle wychodzą, ukazało się przecież znów coś na uwagę przyjaciół muzyki zasługującego. Jest to Msza utalentowanego naszego młodego kompozytora Krogulskiego. Podobała ona się tu powszechnie. — W tych dniach d. 15. b. m. umarł znany literat Józef Mroziński w 55tym roku życia. W ostatnich czasach mało pisał i wcale nic drukiem nie ogłaszał.

W *Berliner Jahrbücher* znajduje się wybornie napisana recenzya dzieł Raupacha, które niedawno w 8miu tomach w Berlinie wyszły. Autorem jéj jest p. Rötszer w Bydgoszczy. Pisma niemieckie cieszą się, iż przecież nakoniec znalazł się literat, który otwarcie, gruntownie i bezstronnie wyłożył całą słabość produktów tego nadwornego pisarza tragedyj.

Pan Lewestam w Berlinie wyda wkrótce u Schlesingera Klechdy Woycickiego w tłómaczeniu niemieckiém p. n. *Reussische Mährchen und Erzählungen.*

Szanowny Harro Haring donosi, iż obecnie pracuje nad Pamiętnikami z ostatnich dziesięciu lat.

W Warszawie ma wyjść wkrótce: *Nauka harmonii czyli (?) Basu jeneralnego*, dla użytku młodzieży płci żeńskiéj przez J. Jawurka. To dziełko, którego cena na 6 złt. pol. gr. 20 oznaczona, wyjdzie skoro liczba prenumeratorów zakryje koszta. Z nowszych pism zagranicznych w tymże przedmiocie wydanych odznacza się wychodząca w Paryżu nauka harmonii Chorona, a w niemieckim G. Schillinga: *Vollständige Harmonielehre*, znanego już jako redaktora obszernego *Musikalisches Konversations-Lexikon* i dzieła *Versuch einer Philosophie des Schönen in der Musik* 1838. 2 tomy.

Najnowsza czeska Literatura. Z nowszych dzieł wyszły tu: *a*) Deklamowánky a pjsne od Frant. Rubesze, swazeczek I. a II.; to jest: Deklamacye i pieśni Franciszka Rubesza, poszyt I. a II. Swobodny humor rozlany po tych deklamacyach, duch satyryczny, którym się autor całkiem przejął, rokują w Rubeszu niepospolitego pisarza dla literatury czeskiéj, gdyby się tylko chciał pozbyć wady poświęcania częstokroć wzniosłéj poetycznéj idei błahym i niewczesnym żartom. *b*) Cerwantesowi nowely etc. Nowelle Cerwantesa, z hiszpańskiego przełożone przez Bogusł. Pichl, 2 części. Pierwsza część zawiera: »Cygankę i szczodrego kochanka,« druga: »Angielską Hiszpankę, Kornelią i Leokadyą.« Pan Pichl, który już dawniéj znakomity jako tłumacz, okazał talent w przekładzie jednéj księgi Luzyady Kamoensa, nie zawiódł i tą razą położonego w nim zaufania. W przedmowie zapowiada wydać wkrótce tłumaczenie Don Quixota. — Prócz tego wyszedł 9ty zeszyt Geografii podług Balbiego; Praktyczna Chemia przez J. Sw. Presla, część druga; Aureliusza Wiktora hist. Rzymu z tłum. objaśnieniu przez Chmela; i Premyslowci, to jest: Przymysłowcy, wiersz bohatyrski Erazma Wocela. Praga 1839. Od czasu jak Czelakowskiego i Kolara muza zamilkła, cisza panuje na czeskim parnasie. Przerywała ją wprawdzie nie jedna zuchwała ręka, uderzająca w złote strony narodowéj lyry, ale jéj niesforne lub słabe tony wkrótce przebrzmiały. Jeden tylko młodzieniec Macha, dziwaczny samotnik, którego świat nie zrozumiał, ani on świata, oddychał prawdziwym i świętym poetyckim duchem. Jego Maj, lubo w całości uchybiony, obfituje w świetne kwiaty najbujniejszéj imaginacyi i oryginalnego pojęcia rzeczy, i był, że tak rzekę, zgłębi ściśnionego serca ostatniém wydobytém westchnieniem, ulgę zbolałemu sercu autora niosącém, autora, który przy innym kierunku umysłowym byłby niezawodnie zajaśniał jako gwiazda pierwszego rzędu na horyzoncie literatury czeskiéj. W obecnéj prawdziwéj czczości poetycznéj ściągnął wszystkich uwagę Wocel swym bohatyrskim poematem. Jakoż dzieje czeskie tak słynne od bajecznego pługa Przemysława aż do ostatniego szczepu rodowitéj panującéj dynastyi, dziedzica trzech potężnych królestw, ugodzonego w kwiecie pierwszéj młodości stalą krytobojcy, obszerne dla poetyckiego talentu otwiera pole. Wzrost państwa czeskiego z szczupłego pragskiego okręgu aż do najobszerniejszéj i potężniejszéj monarchii w Europie, zacięte z pogranicznemi nieprzyjacioły zwodzone walki, wewnętrzne niesnaski, rozmaitości koleje, najniższa niedola obok najwyższego szczebla chwały: to wszystko złożyłoby najcudniejszy obraz, w ramach całości ujęty, jakiegoby podobno żaden inny kraj dostarczyć nie był zdolny, prawdziwą narodową epopeję. Takiém pożądaném zjawiskiem nie są wprawdzie Przemysłowcy Wocela, nie są jednak bez zasługi. Autor szczęśliwie pojął swój przedmiot, który w licznych dumkach w jednę całość spojonych, rozwinięty, zaczynający się od apostrofy do ojczyzny, a kończący odezwą do grobów wsławionych władzców narodowych, okazuje niepospolity, miłością ojczyzny zagrzany poetyczny talent. Wybór przedmiotu w pojedyńczych dumkach rozwiniętego prawie wszędzie szczęśliwy; lecz obrobienie i wykończenie nie najlepiéj się udało. Nawet i lepsze prawdziwemi poetycznemi sytuacyami odznaczone, jak n. p. »Przemyśl, Ottokar Wielki« kazi pewna twardość wiersza i niezgrabność wyrażenia. Dziwna giętkość czeskiego języka, do każdego rodzaju wiersza tak łatwo się naginająca, i wysoki stopień jego wykształcenia, zwłaszcza w poetycznéj dykcyi, koniecznie doskonałéj formy wiersza wymaga. Pan Wocel nie miał, jak się zdaje, na względzie wielkiego postępu i rozwinięcia poetycznego języka, w ostatnich czasach zdziałanego. *(O. u. W.)*

Przyp. Red.: ...się szkatułkę i ujść z migocącym cackiem; ale kiedy kto zajeżdża ciężko ładowną, szacownym towarem wypakowaną krakowską bryką, ten się takiego literackiego rozboju nie lęka. *Przyp. Red.*

Z Poznania. Zawiązał się tu klub szachowy, który gra obecnie z klubem berlińskim. Poruszenia donoszą sobie przez gazety, tutejszą niemiecką i berlińską Vossa. Oto początek gry:

POZNAŃ. Białe.	BERLIN. Czarne.
1) E 2 — E 4.	E 7 — E 5.
2) Biegus F 1 — C 4.	Skoczek G 8 — F 6.
3) Skoczek G 1 — F 3.	

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*